

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

PISARZ

DZIAŁACZ

HUMANISTA



Na zdjęciu: Maksym Gorki i Lew Tołstoj.



Na zdjęciu: Maksym Gorki i Antoni Czechow.

„Nie ma takiego rozkładu jazdy, który by nie ulegał zmianom”.

ki: „Kocham człowieka — „Kocham” to dla mnie nie słowo, to moje, powiedziałbym umiłowane rzemiosło, a może sztuka”. Zresztą Gorki nie tylko pisał. Po rewolucji zajmował się nie tylko twórczością własną, lecz także literaturą ludową, literaturą dla dzieci utworzył wydawnictwo „Literatura świata”, pracował z młodymi pisarzami, tudzież planował szereg innych prac, które miały wzbogacić kulturę socjalistyczną. Śmierć w 1936 r. przerwała jego plany. W Polsce pierwszy przekład opowiadań ukazał się w 1903 r. Pierwszą wystawioną sztuką byli „Mieszczanie” Kraków 1901 r. Po wojnie wystawiono większość sztuk Gorkiego, a 16-tomowe najobszerniejsze wydanie pism zakończono w 1957 r. Popularność Maksyma Gorkiego w Polsce jest ogromna.

Tydzień teatralny

SPOTKANIE

Zainteresowanie sztuką sceniczną teatrów świata zawsze rozbudza ich święto — czyli marcowy Międzynarodowy Dzień Teatru. Jest to najstosowniejsza w roku pora do mówienia o teatrze, o jego potrzebach, bolączkach, osiągnięciach. Na spotkaniu aktorów z władzami wojewódzkimi, zaaranżowanym przez Prezydium WRN, które miało miejsce w ubiegły poniedziałek, i w którym uczestniczyli: przewodniczący Prez. WRN — EDWARD DUDA, sekretarz KW PZPR — STANISŁAW RYBA, wiceprzewodniczący Prez. WRN — MIECZYŚLAW KACZOR oraz kierownictwo Wydziału Kultury — WŁADYSŁAW CZAJEWSKI i JOZEF KANIK — trzy zespoły teatralne — Teatru im. W. Siemaszkowej, Teatru Lalki i Aktora „Kacperek” i Estrady miały możliwość porozmawiać w milej, świątecznej atmosferze właśnie o nurtujących je problemach. Ze jest ich wiele, że dotyczą często spraw związanych z samą egzystencją zespołów — świadczą wypowiedzi kierownictwa teatrów rzeszowskich; że z kolei stosunek władz do tych problemów jest nader przyjazny, że starają się one o zapewnienie jak najlepszych warunków ludziom teatru — rzecz znalazła wyraz w ciepłych, życzliwych teatrom słowach, deklarowanych przez przedstawicieli władz wojewódzkich.

TYLKO DLA DOROSŁYCH
CZYLI PREMIERA
„ROMANSU PERLIMPLINA I BELISY”

Uświetnił Międzynarodowy Dzień Teatru „Kacperek” swoją nową premierą ryciny erotycznej w 3 aktach, czyli „Romansu Perlimplina i Belisy” Federico Garcii Lorki, która odbyła się 25 marca w sali Teatru im. W. Siemaszkowej.

Uświetnił dlatego, że po raz pierwszy od lat przeznaczył swoją sztukę wyłącznie dla widza dorosłego, że wybrał na tę premierę pozycję najznakomitszą artystycznie i zarazem najznakomitszą ideowo — bo wywodzącą się spod pióra największego poety hiszpańskiego, którego tragiczne losy związały z rewolucją hiszpańską i którego w tej wojnie domowej dosięgła śmierć z ręki faszystów.

„Perlimplina i Belise” „Kacperek” przygotowywał od dawna; dostaliśmy więc premierę przemyślaną w kształcie artystycznym; dostaliśmy piękny romans tylko dla dorosłych w wykonaniu teatru lalkowego, tak bliskiego duchowi twórcemu i umiłowanemu Lorcie.

CIĄG DALSZY NA STR. 2



Państwowy Teatr Lalki i Aktora: „Romans Perlimplina i Belisy”, Federico Garcia Lorca. Reż. Stefan Stojakowski. Scenografia: Jerzy Szymański. Muzyka: Zbigniew Jęzewski. Premiera 25 III 1968 r. Na naszym zdjęciu: uroczyste maski Belisy i Matki czyli Stefani Górnika i Jolanty Nord. Fot. JERZY OLMA

Egzaminy młodych wirtuozów i ich nauczycieli



Codziennie od najbliższego poniedziałku do piątku w auli Państwowej Szkoły Muzycznej I stopnia przy ul. 1 Maja w Rzeszowie występować będą uczniowie szkół muzycznych stopnia podstawowego oraz słuchacze Państwowych Ognisk Muzycznych naszego województwa. W ciągu pięciu dni 140 młodych instrumentalistów zdobywać będzie „ostrogę estradową”, przedstawiając swe umiejętności przed komisją, wyłonioną spośród nauczycieli muzyków Rzeszowszczyzny. Ważne to występy. Będą one nie tylko przeglądem poziomu artystycznego uczniów, lecz posłużą do podsumowania osiągnięć dydaktycznych i pedagogicznych naszego szkolnictwa muzycznego.

Międzyszkolne Przesłuchania Uczniów Państwowych Szkół Muzycznych I stopnia i Państwowych Ognisk Muzycznych województwa rzeszowskiego — tak brzmi oficjalna nazwa imprezy — mają swoją tradycję. Odbywają się bowiem po raz trzeci. Zainaugurowane były przed dwoma laty przesłuchaniem małych bądź młodych solistów. W ubiegłym roku zorganizowano przegląd zespołów instrumentalnych i wokalnych szkół muzycznych i ognisk. I tak będzie w przyszłości: co drugi rok na przemian — soliści — zespoły.

Obecne przesłuchania obejmują uczniów klas: skrzypiec, wiolonczeli, fortepianu, akordeonu, fletu, oboju, klarnetu, trąbki i puzonu.

Najliczniejszą grupę tworzą uczniowie klasy fortepianu: 52 osoby, dalej skrzypiec — 35 i akordeonu — 31 osób. Obój i puzon reprezentowane będą tylko przez „jedynaków”. Równie mało popularny jest flet. Na tym pięknym instrumencie grać będzie w czasie przeglądu tylko dwóch uczniów. Najmłodszą uczestniczką jest wiolonczelistka, uczennica mgr Marii Kukli z PSM w Rzeszowie — 8-letnia Marlena Sapilak. Najstarszy przedstawiciel młodzieży muzycznej liczy 23 lata. Jest nim klarncista Zdzisław Augustyn, uczeń Stefana Kielara, również z rzeszowskiej PSM.

Pięć pracowitych dni zakończy 6 IV br. koncert laureatów, który odbędzie się w auli średniej Szkoły Muzycznej przy ul. Chopina. Tym koncertem muzyczna młodzież uczci 25-lecie ludowego Wojska Polskiego.

Przegląd jest również interesującą formą kształcenia i dokształcania nauczycieli, gdyż przesłuchanie każdej grupy uczniów poszczególnych instrumentów kończy robocza narada ich nauczycieli z udziałem koordynatora Okręgowego Zespołu Metodyczno-Programowego Szkolnictwa Artystycznego w Rzeszowie, którym jest dyrektor PSM mgr Jan Wołowicz oraz konsultanta OZMP dla poszczególnych zespołów. I tak na gorąco konfrontuje się teorię z praktyką. Tu sprawdza się lub nie — trudna sztuka nauki opanowywania instrumentu, budzenia i rozwijania talentu muzycznego, być może przyszłych wirtuozów.

M. C. G.

Felieton kulturalny

Amatorszczyzna?

Ludziom, którzy nie stykają się na co dzień z teatrem amatorskim, kojarzy się on na ogół z doprawianymi brodami i wąsami z pakul, z papierowymi nosami, z suflerem głośniejszym od aktorów, pokrzykującym za kulisami i z mnóstwem zabawnych historii, które przydarzają się amatorom na scenie, a to ktoś się zacukał i w środku patetycznego monologu stanął ntemo jak słup soli, ktoś inny przydeptał sobie sznurowadło i efektownym upadkiem urozmaicił spektakl, jeszcze tam ktoś zapomniał ważnego rekwizytu. Ci sami ludzie mają nie najlepsze wyobrażenie o repertuarze tych teatrów. Ot, jakies tam niewybredne sztuczki o Żydzie w becze, o diable i młynarce, o Felku na urlopie lub kłiwopatriotyczne dramy dla kmiotków w tonacji „Wieczorów pod Lipą”. Z tych wyobrażeń rodzi się pogardliwe określenie „amatorszczyzna”, oznaczające coś bardzo nieudolnego, prymitywnego, udającego prawdziwą sztukę.

Oczywiście, że nie bardziej fałszywego niż te pojęcia, o-

czywiście, że amatorskie sceny wiejskie grają dziś Fredrę, Zapolską, Kruczkowskiego, a nawet Mroźka, że ze świecą nikt nie znajdzie w ich repertuarze „Wesela Fonia” czy „Munduru swatem”. I także jest oczywiste, iż zespoły wiejskie i malomiaszeczkowe wzorują się obecnie na teatrze zawodowym, teatrze radia i telewizji, które wszędzie już dotarły i dzięki temu amatorzy mają przyzwoity poziom aktorski oraz opanowane tajniki teatralnej kuchni. Wystarczy oglądnąć jakikolwiek festiwal wiejskich teatrów amatorskich, by stwierdzić, jak mylne są te uprzedzenia i wyobrażenia, podziwiać wysoki poziom i wielkie ambicje amatorów.

Skąd więc ten fałszywy i krzywdzący obraz? Mam przed sobą jedno z licznych wydawnictw dla ruchu amatorskiego z okresu międzywojennego pt. „Teatr amatorski w mieście i na wsi”. Rok wydania 1935, wydawca poważny, bo „Książnica Polska” we Lwowie. Jest to „fachowy poradnik dla reżyserów scen amatorskich”. Znajdujemy tu m. in. wykaz pozycji repertuarowych dla teatrów amatorskich z komentarzem objaśniającym. Czytamy: „Jak kowalicha diabla wykiwała” — Komedie ludowa ze śpiewami. Z humorem przedstawia przygodę diabła z kowalichą, która swoim sprytem tak go wykiwała, że odechciało mu się raz na zawsze przychodzić po duszę ludzką.

„Ofiary demona”... Autor przedstawia zgubne skutki pijaństwa. Straszny ten nałóg doprowadził ojca do zabicia własnego syna. Nadaje się dla zespołów wiejskich jak i wiejskich”.

„Makolągwa na urlopie” — komedia ludowa. Po wojnie Makolągwa dostaje urlop i dowiaduje się, że o jego Marysię stara się bogaty paskarz. Ale Makolągwa wykazuje ojcu Marysi, że i on nie biedak, gdyż otrzymał po swoim poległym dowódcy 30 morgów. Wszystko kończy się sz...

T. di. Oj. dz. na. c.

PWM — zbiorom Archiwum Artura Malawskiego w Przemyślu

Wiadomość o tworzeniu muzeum Artura Malawskiego, które będzie miało oficjalną nazwę Archiwum kompozytora — przez środowisko muzyczne i melomanów została przyjęta z dużym zainteresowaniem i życzliwością.

Dzisiaj zbiory stanowią już ogromnie ciekawą dokumentację, odsłaniającą nieznaną lub mało popularne szczegóły życia i twórczości Artura Malawskiego, kompozytora, pedagoga i dyrygenta wywodzącego się z Przemyśla, który ma bezsporną i trwałą pozycję w historii polskiej muzyki i kultury.

Ostatnio do zbiorów doszedł bardzo cenny dar Polskiego Wydawnictwa Muzycznego w Krakowie. Jest nim 8 partytur i nut — dzieł Artura Malawskiego. Na zestaw składają się partytury baletu-pantomimy „Wierchy”, utworu dedykowanego góralom podhalańskim, ostatniego dzieła mistrza i sławnej „Hungarii”, której premiera odbyła się już po śmierci kompozytora. Jest II symfonia — kompozycja uznana za najwybitniejsze dzieło oraz Uwertura, z kolei najczęściej grana kompozycja.

W zbiorze znajduje się „Tryptyk góralski” na małą orkiestrę symfoniczną i II kwartet smyczkowy oraz Trio na fortepian, skrzypce i wiolonczelę.

Ozdobą jest również drugie wydanie, które ukazało się ostatnio — „Miniatury” na fortepian. „Miniatury” wydano z ogromną pieczołowitością edytorską. Nuty zamyka nota biograficzna i informacja o dziele pióra Adama Walacińskiego.

Dar Polskiego Wydawnictwa Muzycznego wejdzie do zestawu pierwszej ekspozycji zbiorów, która 12 maja zostanie otwarta z okazji inauguracji Dni Muzyki Kameralnej w Łańcucie.

M. G.

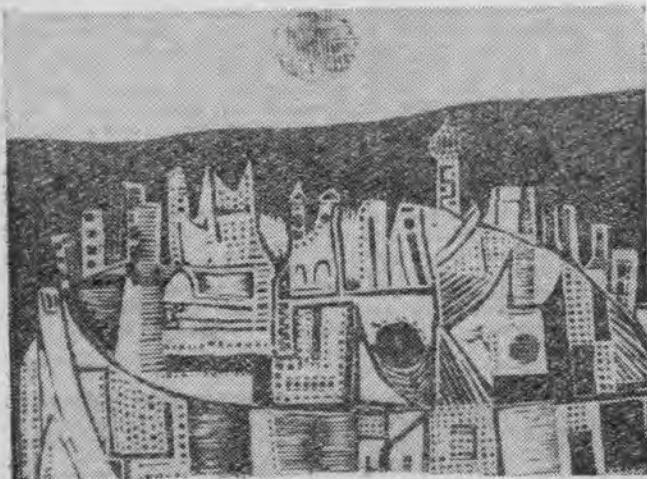
czym ta obraza polega. Nadaje się dla zespołów wiejskich”.

Otóż to! Każda prymitywna brechta, która się do niczego nie nadaje, jeszcze zdaniem autora poradnika, dla zespołów wiejskich się nadaje. Są tam jeszcze takie tytuły, jak „Kasine wesela”, „W strasnym mlynie”, „Moryc Kanon w prowianturze”, „Imieniny Księdza Patrona” itp. Każdy z nich na miłą traci „ludowym humorem” i rozrywką dla kmiotków. Jak mógł wyglądać poziom artystyczny wiejskich scen przy takim repertuarze. Pojęcie amatorszczyzny wtedy się narodziło i straszy jeszcze obecnie.

Jeśli dziś jest inaczej, to między innymi dlatego, że teatry amatorskie otrzymują inne propozycje repertuarowe... W jednej z ostatnich broszur wydawanych stale przez Centralną Radę Ruchu Amatorskiego znajdujemy również zestaw bibliograficzny sztuk dla scen amatorskich. Między innymi znajdujemy tu takie pozycje, jak Marka Domańskiego: „Ktoś nowy”, St. Fleszarowej-Muskat „Ostatni koncert”, J. P. Gawlika: „Pokusa”, Włodzimierza Odojewskiego: „Pomyłki”, adaptację sceniczną „Krzyżaków” Henryka Sienkiewicza czy montaż sceniczny z opowiadań Czechowa.

Ale to nie tylko zamiana „Makolągwy na urlopie” na „Krzyżaków” Sienkiewicza zadecydowała o innym obliczu współczesnego teatru amatorskiego. Zmieniły się jego założenia i cele. Kiedyś usiłowano mu narzucić funkcję wyłącznie rozrywkową i konsumpcyjną, spychano go na dalekie peryferie życia kulturalnego społeczeństwa. Dzisiaj stanowi on szeroko otwartą drogę do zdobyci kultury ogólnonarodowej i jest jej współtwórcą. Stąd wzrost jego ambicji, poczucie odpowiedzialności, a przede wszystkim zanik zaściankowego, parafialnego charakteru. Współczesna „amatorszczyzna” w zestawieniu z tamą z przeszłości jest jednym z najwartygodniejszych dokumentów kultury kulturalnej

Najlepsze prace konkursowe w marcu



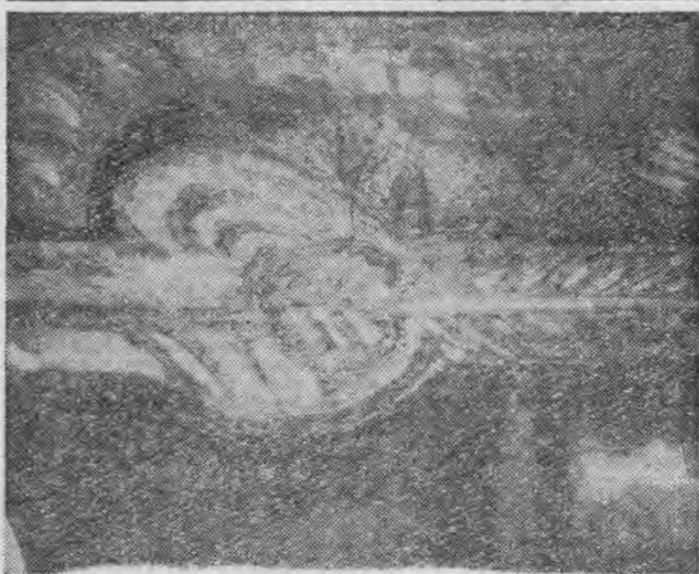
Barbara Smoczeńska — „Miasto nad zatoką”



Zygmunt Czyż — „Otwarte drzwi”

W konkursie na najlepszą grafikę i rysunek miesiąca — w marcu autorzy nadesłali 10 prac. Jury pod przewodnictwem IRENY WOJNICKIEJ oceniło 9 prac (jedna praca nie odpowiadała wymogom konkursu). Dwie równorzędne nagrody za grafikę przyznano BARBARZE SMOCZEŃSKIEJ

— praca pt. „Miasto nad zatoką” — ZYGMUNT CZYŻ, praca pt. „Otwarte drzwi”. Wszystkim uczestnikom konkursu przypominamy, że Jury nie będzie oceniało prac nie odpowiadających wymogom konkursu (prace wykonane gwaszem i temperą).



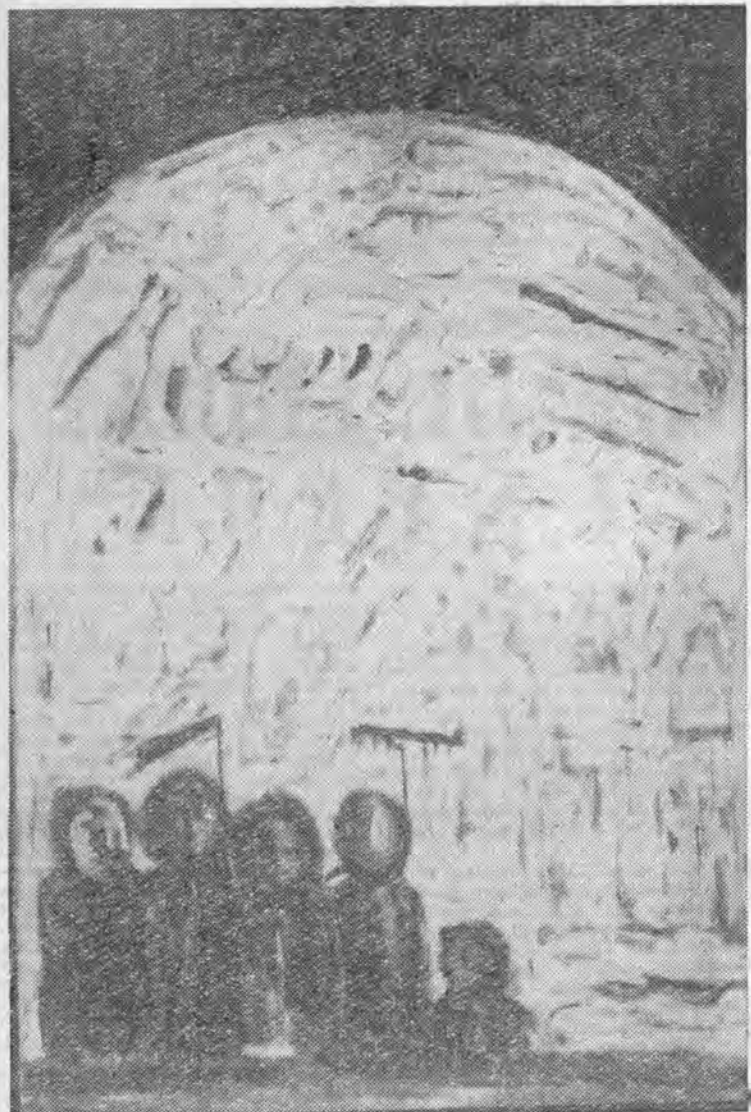
W kawiarni Domu Sztuki w Rzeszowie czynna jest wystawa Stanisława Kuci. Na zdjęciu: Akt — olej

Z tradycji polskiego koloryzmu

Malarstwo Zygmunta Czyży wywodzi się z dobrej szkoły koloryzmu polskiego, kierunku o ugruntowanych i twórczych tradycjach w malarstwie polskim ostatniego półwiecza. Świadczy o tym ponad wszelką wątpliwość wystawa jego malarstwa i grafiki otwarta niedawno w rzeszowskim Domu Sztuki.

Artysta widzi rzeczywistość przez kolor, wyraża przez duże barwne plamy brylowość przedmiotów, przestrzeń i światło. Rysunek, linia, kontur w kompozycji jego obrazów nie odgrywają większej roli. Nie przejmują się również zagadnieniem wierności w odtwarzaniu przedstawianego motywu — traktuje go jako pretekst do kreowania własnej rzeczywistości emocjonalnej. Dzięki temu malarstwo Czyży mimo pozornie realistycznej konwencji ciągle ociera się o abstrakcję. Tyle tu daleko idących uproszczeń w odtwarzaniu przedmiotów, deformacji, monumentalizacji, dążenia do maksymalnego podważenia tradycyjnej struktury realistycznego motywu, iż świat obrazów tego artysty staje się odbiciem jego wyobraźni.

Wspomniałem, że malarstwo Czyży ma swe źródło w koloryzmie — tradycje tego kierunku wyniósł z pracowni Wacława Taranczewskiego, u którego studiował malarstwo. Ale nowsze jego prace stanowią już swoistą replikę na koloryzm, dyskusję z pierwszym zwłaszcza etapem kierunku. Artysta unika rozdrzgniętych, ciepłych kolorów na płótnie, owej wibracji przestrzeni uzyskiwanej dzięki dobrym wielobarwnym i żywym plamom. Stosuje inną fakturę, kładzie



Zygmunt Czyż — „W pole”



Zygmunt Czyż — „Grajek”

duże plamy o barwach ściszo-nych, zimnych z przewagą ciemnej zieleni, brązu, fioletu, szarości rozmaitych odcieni... Biel stanowi w nich współczynnik łączący wszystkie kolory. Unika ostatnio również pejzaży, ulubionego motywu kolorystów — najchętniej wybiera kompozycje figuralne, traktując je metaforycznie i syntetyzując aż do granicy nadrealizmu. W tym sensie twórczość Czyży na pierwszy rzut oka stanowi jak gdyby antynomie koloryzmu z jego pierwszego okresu. Dzięki tej fakturze i tym tendencjom płótna artysty uzyskują dużą ekspresywność, siłę wyrazu, są dowodem dużego temperamentu malarskiego. Ale nie ma tu brutalności, sardonizmu czy szyderstwa — raczej przeważa ton zadumy filozoficznej i ledwie dostrzegalnej melancholii. To malarstwo na wskroś osobiste i bardzo emocjonalne ukazuje płynność i żywiołowość materialnego świata.

Na uwagę zasługują rozmiary tej ekspozycji. Młody artysta (dyplom otrzymał w 1964 roku w krakowskiej ASP) niedługo jeszcze przebywający w środowisku rzeszowskim zdołał wystawić 29 grafik i 61 obrazów olejnych. Brał już udział w kilku ogólnopolskich wystawach grafiki i malarstwa, uzyskał kilka nagród oraz wyróżnień w konkursach zarówno środowiskowych, jak i ogólnokrajowych.

Zygmunt Czyż jest niewątpliwie jedną z wybijających się indywidualności twórczych w rzeszowskim środowisku plastycznym.

JAN GRYGIEL

Ludmila Pietruszkowa

K I E D Y

Kiedy nie cieszy już
dotyk nabrzmiałych pąków
wtulonych miękko w opuszki palców
i każdy dzień
szarym mulem nawarstwia czas
że już ani słońce grzeje
ani chłód przenika —
kiedy wszystkie oczy stają się nieobecne
kiedy milknie kamień
a wiatr
jest tylko ruchem powietrza —
kiedy wszystkie kroki
są tylko krokami przechodniów
posłuchaj uważnie
do drzwi puka starość

Cecylia Błońska

DWOJE LUDZI...
I S Y F O N

„Enigmatyczna powieść „Powój”, jaką napisał zupełnie nieoczekiwanie bohater książki A. A. Milne'a Reginald Wellard — jakkolwiek jej wątki nie dochodzą do czytelnika w trakcie całej lektury — jest chyba czymś całkowicie umownym. Jedynie motto o ukochanej żonie Wellarda, przepięknej młodzieńczej Sylwii, która niczym powój owinęła się wokół serca szalejącego z miłości małżonka, znajduje pokrycie w akcji „Dwojga ludzi”.

Pisarz angielski urodzony w roku 1882, autor przygód Kubusia Puchatka A. A. Milne opublikował swą powieść dla dorosłych DWOJE LUDZI, w roku 1931. Sporo więc czasu upłynęło zanim wśród tegorocznych nowości wydawniczych „Czytelnika”, w poprawnym przekładzie M. Michałowskiej dociera ona do polskiego czytelnika; widzi on przede wszystkim w Milne'em twórcę „Puchatka”, który swą dobrocią, niepowtarzalnym urokiem tak nas zafascynował, że i w stolicy piękne ulice noszą imię Kubusia i puchatkowych bohaterów.

A przecież Milne napisał również kilkanaście sztuk, wydał kilka tomów esejów, opublikował parę powieści.

„Dwoje ludzi”, to powieść o udanym małżeństwie, jego sprawach, perypetiach wynikłych w momencie, gdy małżonek osiąga nieoczekiwaną sławę.

Sprawa Reginalda Wellarda przedstawia się na pozór niezwykle prosto. Posiadacz małego gospodarstwa, wspaniałego ogrodu, dochodowych pasiek, ożeniony z czarującą, o wiele od siebie młodszą dziewczyną, w sposób i dla siebie najbardziej niespodziewany, pisze mikropowieść. Coś na 64 strony, nadaje temu tytuł „Powój” i... kariera gotowa. Zupełnie jak w uproszczonym scenariuszu filmowym. „Powój” zyskuje z miejsca aprobatę wydawcy, pochlebne recenzje, przynosi dochody i Milne z całą konsekwencją prowadzi tę pozornie łatwą fabułę.

Wśród pochlebców, rozpróżnionych arystokracji Londynu, z miejsca przyjmującej oszłomionego Reginalda za swego autora, wśród całego zastępu hochstaplerów, niebieskich ptaków, menagerów, autorów scenariuszy (którzy nigdy niczego nie dokonali w tej dziedzinie), nie trafi się nikt, kto by „Powój” przeczytał, zainteresował jego treścią, bodaj jej fragmentem. Jedynym, którego Wellard „przyłapie” na lekturze swego dzieła jest pracownik z jego własnej farmy; ale i on doszedł do posiadania egzemplarza drogą całkowicie przypadkową.

To więc w sumie dobra zabawa, tak ukazana droga zaskakującego sukcesu. Pisarzowi nie chodzi bynajmniej o to, by czytelnik uwierzył w pisarskie możliwości Wellarda, by pod dziejami dwojga bohaterów w ogóle szukać pragnął gleby, soków, tworzywa, z jakich wyrósł „Powój”. Równie dobrze Wellard mógłby dokonać jakiegoś mniejszej rangi wynalazku, wygrać odpowiednio reklamowany bieg w wyścigach konnych, z sukcesem startować w samochodowych zawodach itp. itd.

Chodzi chyba głównie o to, by czytelnikowi ujawnić mechanizm

problematicznego sukcesu, nie partego bynajmniej wielkim wysiłkiem, a probowanego w taki właśnie pytki, powierzchowny, chwilami wręcz marny sposób, jak „literacki” rozgłos podlondyńskiego farmera.

Jakże szybko zatracą on swoją godność, w niewybredny sposób biegnąc od kiosku z gazetami do znanego salonu fryzjerskiego, od klubu małych snobów na wielkie towarzyskie zbiegowiska w pogoni za afirmacją dla swej sławy.

Wokół niego wyrasta cała galeria typów gotowych, za określonym wynagrodzeniem i korzyściami, stworzyć mu iluzję snu o sławie. Pan Reglan, Pan Ormsby, Pan Fondeveril, cytujący o sobie rzeźki pełen emfazy idiotyczny wierszyk:

Zawsze zdrowy,
Zawsze gotowy,
John
Fon
Deveril.

I wraz z nimi gwiazda trzeciorzędnych scen, Coral Bell, wedeta z pozorami nieustającej młodości, która konsekwentnie i zreżymowana w stosunku do niedawno jeszcze tak ubóstwianej i podziwianej żony.

Syfon, jak zwykle się to określać, rozsądzi chyba wspaniały związek, zniweczy bezgraniczne zaufanie jakie, do ukazania się „Powój”, wzajemnie żywili względem siebie Reginald i Sylwia. Uderzające do głębi powodzenie, woda sodowa, wyraźnie przyćmiewa perspektywę kłeski, ku której zbliża się wielkimi krokami.

Nie, nie trzeba raczej innym parom, innym małżeństwom — w analogicznej zwłaszcza sytuacji — ujawniać finału. Niech przeczytają książkę sami, może powróci czar, jakiemu na pewno ulegali, chłonąc w dzieciństwie dzieje Kubusia Puchatka.

I chociaż już po lekturze kilkunastu stron zwątpia, jak i my, w to, czy R. Wellard zdolny był w ogóle coś stworzyć (choćby taki warty powój) to na pewno zadumają się nad bezmiarom szkody, spustoszeniem, jakie w życie dobranego stadła wnosi olśniewający sukces jednego z współmałżonków, z miejsca uznającego swą niezachwiana wyższość nad intelektem, nad życiowymi możliwościami współpartnera.

Więc mężowie wysoko awansujący, którzy niekiedy w swych wiernych i oddanych towarzyszkach życia nagle zaczynają dostrzegać li tylko miernotę, intelektualne dno, niech sobie poczytają tę rzecz o dwojgu ludziach do końca. Co niektóre zaufane małżonki, olśniewone swą zawodową karierą, wyższą od pozycji męża (to też często bywa), również znajdują tu trochę tematu do zadumy.

W momencie nagłej sławy jednego z dwojga ludzi, których połączyła miłość, tysiące owych małych, drobnych, rzeczy, spraw, wydarzeń wiążących ich zdatoby się na zawsze, dobrze jest umieć tę nową sytuację unieść ze spokojem, z godnością. Bez druzgotania ukochanego człowieka. Bez unicestwienia własnego szczęścia.

Zyciowa cwaniara Coral Bell słusznie zauważa: „Kiedy ludzie są zakochani, to każde najmniejsze nieporozumienie musi być wyjaśnione, zanim człowiek może znowu być szczęśliwy...”.

Zbigniew Wawszczak

Zielony gazik rzeźbił i sapał, wspinając się stromymi serpentynami na szczyt. Została za nami głęboka dolina, przecięta wąskim pasemkiem Wiaru i pokryty lasem stok przeciwległej góry. W pewnej chwili, zanim jeszcze osiągnęliśmy szczyt wzgórza, o dźwięcznej nazwie Hip, którą ochrzciłem żartobliwym mianem Hipek (aluzja do dobrodusznego Hipopotama z bajek mej córki Katarzynki), kierowca zatrzymał wóz.

— Stąd będzie pan mógł spojrzeć na Kalwarię — powiedział opuszczając samochód. Poszedłem za jego przykładem i teraz dopiero ujrzałem w całej okazałości surowe piękno rozciągającej się u naszych stóp doliny. Na przeciwległym wzgórzu błyskały białe ściany i zieloną patyną dachów kaplice rozmaitego kształtu i wielkości. Uszeregowane w pewien, jakby rytmiczny system, schodziły spośród lasu z góry w dolinę Wiaru. Na samej zaś górze niepodobna było dostrzec charakterystycznych

domków, które jeszcze nie tak dawno oglądałem: ponad szczyty drzew wystrzelały jedynie pekaty wieże klasztoru. I teraz właśnie nasunęło mi się porównanie Kalwarii do szklanej góry z baśni. Podobnie jak tę górę, kalwaryjskie sanktuarium było zdobywane, tyle że nie przez gotowych na wszystko, romantycznych rycerzy, lecz rzesze pańników, spracowanych chłopów z bliższych i dalszych okolic. Te wiejskie pielgrzymki stanowiły kiedyś dla mieszkańców galicyjskich wsi jedyną niemal okazję oderwania się od nieznoszonego kierunku codziennej harówki, dawały jakże ograniczoną co prawda okazję poznania świata szerszego aniżeli rodzinną wieś i zetknięcie się z różnymi ludźmi, postuchania opowieści o dziwach i cudach, wydarzeniach niezwykłych, które to opowieści należały do zwykłego repertuaru wszelkiego autoramentu żebraków, zwanych dziadami. Usiłowałem wyobrazić sobie ów barwny tłum na zaśniewanym jeszcze, mimo kalendarzowej wiosny, rynku Kalwarii, rozłożone pod podcieniami domów towary, jarmarczne błyskotki, lukrowane serca, zgiełk i nawoływania wędrownych handlarzy i dziadów, którzy na cały dzień stawali się niewidomymi bądź kalekami, by pod dobroczynną opieką nocy przejechać zebrane grosze, i zmęczonych pańników, układających się do snu na strychach kalwaryjskich domów. I pacławian, zacierających ręce (bo ruch przynosił im dochody w postaci opłat za jadło, za noclegi), i z niepokojem obchodzących domy, aby przypadkowo zaproszony ogień nie stał się przyczyną nieszczęścia.

Próbowałem wykrzesać z wyobraźni ów świat, odchodzący już w przeszłość w wyniku wszystko ogarniającej fali przemian, spotykam jego ślady rozmawiając z ludźmi, zaglądając do starych chałup i dostrzegając oznaki nowego. To co widziałem i o czym usłyszałem pozwala mi sformułować twierdzenie, że mieszkańcy Kalwarii Paclawskiej nie szczędzą starań, aby swą zagubioną wśród lasów wieś przybliżyć do rytmu współczesnego życia. Aktyw tutejszy, któremu przewodzą członkowie ZPZR i ZSL, może poszczycić się pewnymi sukcesami.

— Albo to jesteśmy gorsi od tych, co mieszkają bliżej miast, fabryk — opowiada nauczyciel tutejszej szkoły, Władysław Nawojski. — Chcieliśmy mieć światło, no i dopiełniliśmy swego. W 1966 roku, akurat na Tysiąclecie Polski zapłonęły w Kalwarii elektryczne żarówki.

Wszystkie roboty niefachowe (jak kopanie dolów, zwożenie słupów z Przemyśla, odległego o ponad 20 km), wykonali sami mieszkańcy, na opłacenie fachowych prac zaciągnęli pożyczkę w GS-ie.

— „Kosztowało to od 5 do 10 tysięcy na jeden dom — tłumaczy Nawojski — ale jako to wygoda i w gospodarstwie, no i chociażby w pracy szkolnej”.

Szkole mają niewielką, mimo że w pierwszych i drugich klasach zaledwie po kilkoro dzieci, i tak nauka musi odbywać się na dwie zmiany.

Nauczyciel Nawojski zakończył już lekcje, postanawia więc pokazać mi Kalwarię Paclawską. Pan Władysław, podobnie jak nieobecny dziś jego brat, który kieruje szkołą, jest rodowitym pacławianinem, zna więc doskonale miejscowe stosunki, a także interesuje się przeszłością tych stron. Jak wiadomo z historii, Kalwarię Paclawską założył jeden z Fredrów w połowie siedemnastego stulecia. (1668 r.).

Dziadek, Franciszek Kopera, do którego wstąpił, aby obejrzeć odbudowany według dawnego wzoru dom, przedstawił mi legendę o okolicznościach powstania Kalwa-

Ludzie ze

rii. — „Kiedyś Fredro, wojewoda na Podolu, goniąc na łowach w lasach tutejszej okolicy za jeleniem, dostrzegł między rogami tegoż krzyż. Widokiem jego wielce przerażony, powziął myśl, aby na tym miejscu, na wysokiej górze, wystawić kościół z klasztorem i założyć Kalwarię, podług wzoru i rozmiaru jerozolimskiej drogi krzyżowej.

Początki osady związane są więc z nazwiskiem Fredry. Był nim Andrzej Maksymilian, konserwatywny polityk i pierwszy z Fredrów, który parą się piórem. Chętnie orzebywał w rodzinnych Kormanicach w pow.

dy, chociażby z pielgrzymek, ale okoliczne wsie, lepiej nie mówić. Dziedzic Tyszkowski płacił złote go za dniówkę, ale jak wyszedł głodowy przednówek, to chłopci dopraszali się roboty nawet za 40 groszy! Tu góry, ziemia nie najlepsza, nie było mowy o jakimś zarobku poza rolnictwem. To nie to co dzisiaj!

Dziadek Kopera nie ma złudzeń, zna tamte czasy z własnego doświadczenia, nikt nie nabierze go na gadaninę o tym, jak to dobrze było przed wojną!

W domach tutejszych zachowało się sporo starych mebli: stare



przemyskim, zasłynął jako autor ciętych aforyzmów. Szczególnie wydane w języku łacińskim „Prześlągi polityczno-obyczajowe” zyskały mu niezwykłą popularność. Osiągając 20 wydań, Andrzej Maksymilian Fredro był typowym przedstawicielem reakcyjnej, ultrakatolickiej, bogatej szlachty polskiej. Jako nieodrodny syn swego czasu (pamiętajmy, że był to okres gdy dawna tolerancja, wolność wyznaniowa, z której słyneła Polska w Europie, została całkowicie pogrzebana, wypędzono Arian, prześladowano innowierców, triumfował łepy fanatyzm religijny), postanowił pod koniec życia użyć części swych dóbr na cele religijne.

Obecny wygląd klasztoru w Kalwarii Paclawskiej nie pochodzi oczywiście z czasów Andrzeja Maksymiliana Fredry: ukształtowały go następne stulecia. Należy przypuszczać, że walec z założeniem klasztoru powstała również osada. Nadano jej miejski kształt urbanistyczny, lokując domy wokół wąskiego, podłużnego rynku. Stare domy są do siebie bliźniaczo podobne, właściciele chwala sobie ich wewnętrzną rozkład.

— Pan nie wie, jaka to wygoda! — tłumaczy mi córka dziadka Kopera, gdy wychodzą z kuchni mijamy rozmaite komory, z których jedna pełni funkcję warsztatu stolarskiego, inna służy jako skład opałowanych kłociów, by dotrzeć do obory i stodoły. Wszystko jest pod jednym dachem, w zimie nie trzeba wychodzić z domu. Zapewne kształt kalwaryjskiego domu jest nieźle dopasowany do tutejszych warunków klimatycznych, zimą dmucha tu niewąsko, skoro zasy sięgają wysoko dachów domów, wspartych na konstrukcji przysłupowej.

To skupienie wszystkich pod jednym dachem ma jednak poważną wadę: w razie pożaru, trudno cokolwiek uratować. Przed paru laty spalił się stary dom dziadka Kopera. Pożary zresztą dosyć często nawiedzały kalwaryjskie wzgórza. Dlatego zapewne buduje Kalwarię w czynie społecznym murowaną siedzibę dla strażnicy pożarnej. Znajduje w niej również wygodne locum świetlica.

— A jak tu było w Kalwarii dawniej?

Dziadek Kopera zaperzył się: — Panie, bieda aż piszczała! Może w samej Kalwarii nie tyle, ta zawsze miała jakieś dodatkowe docho-

skrzynie — to ślady wojaży za chlebem za ocean. Podziwiałem pięknie rzeźbione komody i szafy z oryginalną ornamentyką roślinną. Próbowałam ustalić ich pochodzenie. Wyszyły, jak się wydaje, z głośnego kiedyś warsztatu Mielnika w pobliskich Rybotyczach. Nieomal w każdym domu spotkać można tzw. bambetel. Jest to rodzaj kanapy, służącej jako łóżko. Wystarczy zdjęć wierzchnią deskę, rozsunąć konstrukcję i jest toż dla dwu osób. Dziadek Kopera sypia w swoim rzeźbionym bambetelu, jednakże jedna z młodszych gospodyń powiedziała nam ze śmiechem, że dzisiaj bambetel dobry tylko dla młodych w noc poślubną, bo i tak nie czują, że jest okropnie twarde!

Staropolskim obyczajem jeden z mniejszych pokoi, przeznaczony na sypialnię, nazywany jest alkierzem. W staroświeckim alkierzu stoi jednak zwykle aparat radiowy. Z moim cicerone, nauczycielem Nawojkiem rozmawialiśmy o dramatycznym przebiegu meczu Manchester United — Górnik. Spora grupa mieszkańców Kalwarii śledziła przebieg spotkania przed ekranami trzech telewizorów i nie muszę dodawać, że nie czyniła tego z angielską flegmą...

Mieszkańcy Kalwarii i należące do niej przysiółka Paclaw (w sumie ok. 80 domów, ale i jedni i drudzy uważają się za coś lepszego, gdy założono w Kalwarii kółko rolnicze. Paclaw postanowił, że musi mieć własne itp.) z racji swego położenia w strefie nadgranicznej, zaglądają niejako do garnków swych ukraińskich sąsiadów. Dobrosąsiedzkie stosunki widoczne są również w tym, że przy zakładaniu telewizorów, instaluje się jednocześnie dwie anteny: na odbiór programu z Warszawy i Lwowa. Odbiór tego ostatniego jest zresztą pod względem technicznym znacznie lepszy. A ponieważ aż do ostatniej wojny okolica tutejsza stanowiła prawdziwą mozaikę narodowościową (żyli tu obok siebie Polacy, Ukraińcy, koloniści niemieccy, w miasteczkach Żydzi), stąd też znajomość języka ukraińskiego, zwłaszcza u starszego pokolenia jest niemal powszechna. Wspomniany już dziadek, Franciszek Kopera, którego swego czasu zwolnił cesarz Franciszek Józef ze służby wojskowej z racji „zepsutej nogi”, powiada: — Panie, myśmy tu żyli w najlepszej zgodzie z Rusinami, jak

„Szkłanej góry”

sasiad z sąsiadem. I tu ja miałem przyjaciół wśród nich, ile naszych było pożenionych z Rusinkami i na odwrót. Dopiero jak popi zaczęli ich agitować (a i nasi księża nie byli bez winy), to wie pan do czego doszło. Ale ja się na swoich przyjaciół ruskich nigdy nie zawiodłem!

Od jednego z paławskich gospodarzy, postawnego, wysokiego mężczyzny w średnim wieku, Michała Hładio, dowiedziałem się o kłopotach tutejszych rolników. — Jeżeli ma pan chwilę czasu — powiada pan Michał — niech pan pójdzie ze mną pod górę, przekonam się pan na własne oczy. Dzik, jeżeli przychodzi nawet w biały dzień, niszczy zasiewy. Właściwie jesteśmy beznadziejni, gdyż wszelkie strachy nie na wiele się zdają.

Przypomniałem sobie, że kiedy zbliżyliśmy się do owej wcale nie-małej góry (podobno 630 m nad poziom morza), na której leży Kalwaria, nad zaśmiecionym zagonem kołysał się na wietrze zgrabny manekin, do złudzenia przypominający tegoż mężczyźnego. Jest to poważny problem dla całej niemal górzystej i lesistej części powiatu przemyskiego. Odszkodowania, wypłacane rolnikom sięgają zaledwie połowy rzeczywistej spowodowanych szkód. Komitet Powiatowy PZPR zebrał materiały na ten temat i wystąpił do władz wyższych z postulatem uregulowania sprawy.

Kalwaria ma jednak również bardziej prozaiczne i łatwiejsze do uregulowania kłopoty. Wspomina o nich młodzieńca, nauczycielka, absolwentka przemyskiego stu-

dium nauczycielskiego. Owszem, jest zadowolona ze swej pierwszej posady, dzieci tutejsze są wyjątkowo miłe i grzeczne. Ale po każdej drobnej trzeba schodzić na dół, do Nowosiółek. To nie jest tak daleko, ale pod górę trzeba iść co najmniej pół godziny.

— A zimą, jak pan sam widział, zaspasy są tu ogromne! — Sklep jest na miejscu, od czasu jednak kiedy sprzedawczyni zrobiła manko, to znaczy od początku stycznia, zamknięty na kłódkę. Nie ma następczyni, bo nikt z mieszkańców nie chce za nią poręczyć. Aż dziwne, że taki kryzys wzajemnego zaufania w tak miniaturowym środowisku, gdzie wszyscy wiedzą o sobie niemal wszystko!

Mój sympatyczny przewodnik, pan Władysław Nawojki towarzyszy mi do końca w wędrowce po kalwaryjskim wzgórzu. Nie staje już czasu na pobieżne chociażby oględziny górującego nad otoczeniem, późnobarokowego, jak się zdaje kompleksu klasztornych budowli. Ktoś doradzał nam, aby obejrzeć zachowany jeszcze u jednego z gospodarzy stary warsztat tkacki, a trzeba wiedzieć, że tkactwo było tu kiedyś powszechnym zajęciem. Odkładamy to na następną okazję. Pan Nawojki opowiada z dumą, że ludzie tutejsi chętnie posyłają dzieci do szkół. Z Kalwarii wyszło więc немало inteligencji, są wśród niej nauczyciele, wojskowi, lekarze, pracownicy wyższych uczelni.

W pierwszych latach powojennych, kiedy na pograniczu grasowały bandy UPA, wiele ludzi opuściło Kalwarię, przynosząc się w

inne rejony kraju. A teraz narasta problem zaniedbanych gospodarstw, jest ich tu bardzo dużo. Zniechęceni staruszkowie nie mogą podjąć gospodarskim obowiązkom.

— O, widzi pan, właśnie w tym domu mieszka taki gospodarz. Dom zaniedbany. Ale nie wchodzimy do środka. Właściciel chyba nie przyjąłby nas chętnie, niedawno pokazywali te zaniedbania w telewizji.

— Opowiedziałem panu o wszystkim po trochu — mówi na pożegnanie nauczyciel — chciałbym jednak, by nie zapominał pan o drodze. Zjemy odcieci od świata, tylko taki mocny jak smok gazik, którym pan przyjechał, potrafi się wspiąć na naszą górę. Rozważaliśmy rozmaite projekty, oczywiście nie będziemy siedzieć z założonymi rękami. Ale sami nie damy rady. Gdyby tak dyrekcja lasów państwowych dała trochę pieniędzy (oni stąd zwożą dużo drewna), może wspólnymi siłami dałoby się zrobić drogę z Nowosiółek, przez Kalwarię (tylko od innej strony, mniej stromej) do Paportna? Wtedy ludzie mogliby do nas przyjeżdżać na wczasy, mamy przecież wszelkie walory miejscowości wypoczynkowej: doskonałe powietrze, wspaniałe krajobrazy, górską rzeczkę.

— Nie podobna temu zaprzeczyć! — Co tam jeszcze teraz, niech pan przyjedzie jak będzie prawdziwa wiosna albo lato. I niech pan koniecznie napisze o tej drodze, to dla nas sprawa dużej wagi!

Na warsztacie pisarzy rzeszowskich

Pisarze z terenu Rzeszowszczyzny, którzy ostatnio utworzyli Rzeszowski Oddział Związku Literatów Polskich — mają na warsztacie twórczym szereg nowych utworów.

Nestor pisarzy rzeszowskich Roman Turek, autor znanych powieści — „Moja mama, ja i reszta” oraz „W służbie najjaśniejszego pana”, który 7 lutego br. ukończył 70 rok życia — nie zamierza bynajmniej spocząć na laurach. Złożył już w wydawnictwie Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza obszerny maszynopis pt. „Zanim plugi wyszły w pole” zawierający kontynuację autobiograficzną poprzednich powieści. Tym razem wspomnienia obejmują okres upadku monarchii austro-węgierskiej — do roku 1922.

Ponadto R. Turek pisze opowiadania dla gazet i czasopism, a obecnie nosi się z zamiarem przystąpienia do opracowywania czwartego tomu powieści autobiograficznej, który objąłby okres do wybuchu II wojny światowej.

Wiesław Koszela — laureat konkursu LSW z maja ub. roku na najlepszy debiut prozatorski, autor opublikowanego przez to wydawnictwo zbioru poetyckiego „Drewno moje serdeczne” — przygotowuje do druku wyróżnioną powieść pt. „Gorzkie czereśnie”. Treścią jej są przeżycia okupacyjne młodego chłopca. Ponadto W. Koszela ukończył już pracę nad drugim tomikiem wierszy i przystąpił do pisania nowej powieści, związanej częściowo z tarnobrzeską „siarką”. Sam autor mieszka w Tarnobrzegu.

Józef Janowski, autor wydanych przez Wydawnictwo Lubelskie dwu tomów poezji „Twarzą ku ziemi” oraz „Czas i barwy” — przygotowuje cykl swoich utworów dla „Almanachu poezji rzeszowskiej”. „Na warsztacie” ma również trzeci tomik wierszy, w których odzywają się pejzaże Podkarpacia, z którym autor jest najbliższym związany.

Stanisław Orzeł z Tarnobrzega, autor powieści „Pod Łysicą”, „Chmurne lata” i „Kamienista droga” zawarł ostatnio z Ludową Spółdzielnią Wydawniczą umowę na wydanie swojego kolejnego utworu — tym razem powieści historycznej pt. „Zbój świętokrzyski”. Akcja powieści toczy się w czasach Łokietka na terenach Kielecczyzny, skąd pisarz pochodzi. Książka ma ukazać się na półkach księgarskich jeszcze w br. (Kt-PAP)

Maria C. Guziołek

Cała przyjemność po naszej stronie

Ambitne założenia artystyczne Teatru Słowa „Meluzyna” znajdują potwierdzenie w działalności zespołu. Dlatego każdy program oczekiwany jest z życzliwą ciekawością; z wypowiedzianym lub nie zapytaniem: co interesującego znów pokażą. Ich dotychczasowa różnorodna praca, legitymująca się 26 premierami, wieńczonymi w większości nagrodami artystycznymi — również w skali krajowej — zobowiązuje. Nawet poprawne amatorstwo na estradzie „Meluzyny” nie znajdzie już akceptacji widzowi. Rozsmakowali nas i rozkapryślili! I dobrze, że tak się stało. Korzyść obustronna! Wyczuleni na prawdziwą sztukę i wrażliwi widzowie — słuchacze z jednej strony rampy, z drugiej — miłośnicy słowa poetyckiego, manifestujący swe przywiązanie do sztuki udziałem w zespole.

I właśnie ostatni program pt. „Cała przyjemność po naszej stronie” zlikwidowała nawet symboliczną rampę między sceną a widownią. Twierdzenie tak przez wykonawców, jak też słuchaczy „cała przyjemność po naszej stronie” nie jest tylko elegancją i towarzysko-dyplomatycznym gestem obu stron wobec siebie, w czasie rewii bowiem pod tym tytułem, będącym parafrazą piosenki starej Warszawy — bawią się wszyscy.

Przypominanie piosenek estrady, kabaretu i rewii stało się modne. Ich renesans znajduje też potwierdzenie w czasie festiwalu „Opole 68”. Program przewiduje pełny spektakl im poświęcony. Tak jest spektakl, a nie koncert, bo

wykonując je dziś, bez oprawy tamtych lat, straciłoby wiele ze specyficznego smaczku, który pozwoli im przetrwać w pamięci pokoleń.

Również „Meluzyna” przygotowując program piosenek starej Warszawy, przyjęła koncepcję nie koncertu, lecz widowiska w typie rewii. Mała scena kawiarnianej piwnicy Zakładowego Domu Kultury WSK przekształcała się w mini-kabaret, ale z pełnym przepychem i blichtrzem, tak charakterystycznym dla teatrzyków muzycznych i rewiowych lat trzydziestych naszego wieku. Programem trwającym ponad godzinę, zespół cofa jakoby czas o bez mała czterdzieści lat i przenosi widzów w lata sławy Ordonki, młodości Miry Zimińskiej, Sempolińskiego, Fogga itd., do Warszawy, która wzruszała się do łez tak samo balladą o „Czarnej Mańce”, jak piosenką o „Małym Gigo”.

„Ta ostatnia niedziela”, „Całuję twój dłoń madame”, „Umówiłem się z nią na dzień wiatu”, „Nasza jest noc”, „Panna Mania”, „Ja się boję sama spać” itp., itd., to piosenki, które wystarczy zain-tonować i śpiewa całe towarzysztwo, ale już tylko na imieninach... babci. Jest to więc popularność zobowiązująca do dystansu, wartość bowiem artystyczna tych szlagierów często żadna i wskrzeszanie ich dziś ma rację jedynie jako ilustracja pewnego okresu twórczości lekkiej, podkasanej muzy.

Zespół „Meluzyny” podjął się zadania na pewno bardzo niewdzięcznego, a decydując

się na realizację tego programu, uległ zdradliwemu urokowi piosenek okresu międzywojennych teatrzyków rewiowych, ogródków.

Realizatorzy przyjęli model rewii tamtych lat. Tego, czego nie ma i się nigdy nie widziało, nie można odtworzyć. Więc obecnie jedyną formą do pokazania ówczesnego repertuaru to przymrużenie oka; pastiche. I trzeba przyznać, że konfrontacja piosenek Warszawskiego okresu międzywojennego wypadła interesująco, chociaż dyskusyjnie. W spektaklu „Cała przyjemność po naszej stronie” są próby parodii, ale zbyt nieśmiało, niewykryształowane. Z premii-owego przedstawienia (bo to widziałam) można jedynie wnioskować, że w tym kierunku chcą pójść wykonawcy. Oglądając rewię „Meluzyny” i bawiąc się znakomicie, szybko dochodzi się jednak do wniosku: najniebezpieczniejsze dla zespołów amatorskich są tzw. „samograje”. I potwierdza się raz jeszcze, że piosenkarstwo jest niezmiernie trudną sztuką.

Z zespołu wykonawców wybija się — nie po raz pierwszy — Anna Zebrowska, którą zresztą dziś trudno zaliczyć do amatorów. Zastuzone zdobycie nagrody debiutów „Opole 67” i licznych nagród w konkursach piosenkarzkich — potwierdza Zebrowska i na tej scenie. „Czarna Mańka” w jej interpretacji jest ciekawym wzorem współczesnego przekazywania starych przebojów.

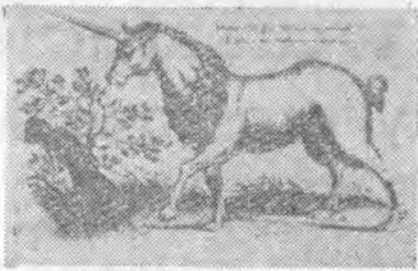
Roman Konieczkowski — również nie po raz pierwszy — ożywia świetnym poczuciem humoru i swoim vis co-

mica całe widowisko. Już jego pojawienie się na scenie bawi, a jednocześnie narzuca właściwy ton całemu zespołowi.

Moją uwagę natomiast w pełni pochłonął zespół instrumentalny Leszka Steciaka, w którego rękę spoczywa też kierownictwo muzyczne rewii. Stylowe ubiory z tamtych lat muzyków, to tylko drobny szczegół stworzonej przez nich atmosfery. Oni bodaj jedyni w pełni potrafili oddać muzykę lat trzydziestych XX w z właściwym dystansem, potrafili zachwycić!

Rewia „Cała przyjemność po naszej stronie”; inscenizacja i choreografia Edward Odobny, kierownictwo muzyczne Leszek Steciak, scenografia Jerzy Szymański, kierownictwo artystyczne Erazm Buchelt. Wykonawcy: zespół Teatru Słowa „Meluzyna” ZDK WSK w Rzeszowie.





Świeczka i ogarek

◆ Punkt przyjęć w komizm ◆ Czynny w sobotę i niedzielę
W tym tygodniu również w poniedziałek

ZOO w Rzeszowie

Zarząd Okręgu Ligi Ochrony Przyrody w Rzeszowie podjął energiczne kroki w sprawie budowy rzeszowskiego ogrodu zoologicznego. Ta pożyteczna i atrakcyjna placówka będzie zlokalizowana na terenach Lisiej Góry, która już w niedługim czasie bardzo zyska przez naturalną scenografię zalewu i tworzyć będzie piękny naturalny park.

Organizatorzy postanowili wykorzystać warunki zalewu i zbudować również ogrzewane, olbrzymie akwarium, pierwsze tego rodzaju w kraju. Znajdą tu pomieszczenie różne gatunki zwierząt wodnych i wiele egzotycznych ryb.

Z rozmowy, jaką przeprowadziliśmy z przewodniczącym, wynika, że budowa ZOO ruszy pełną parą w III kwartale br. Pierwszymi mieszkańcami tej placówki mają być przedstawiciele rzeszowskiej fauny. Organizatorzy prowadzą też od dłuższego czasu rozmowy konsultacyjne z dyrekcją ZOO poznańskiego, które zdecydowało się obdarować nową placówkę pięknym lwem wabiącym się „Neron” (zdjęcie).



Niezwykle cenną inicjatywę podjęli również marynarze statku „Rzeszów”, którzy postanowili systematycznie dostarczać do ZOO różne okazy egzotyczne. Statek „Rzeszów”, który wraca do kraju w sierpniu br., przywiezie m. in. bardzo rzadki okaz jednorozca (ssak należy dzisiaj do ginących — największy rozwój w neolicie); jednorozec swoim wyglądem bardzo przypomina konia z olbrzymim rogiem (łacińska nazwa: imbecylus regionalis — patrz rysunek, który wykonał marynarz Edward Kapusta).

Tak więc mieszkańcy Rzeszowa i województwa już w niedługim czasie doczekają się atrakcyjnej placówki ogrodu zoologicznego z prawdziwego zdarzenia.

Wielkie polowanie z sokolem

Ta niezwykle atrakcyjna impreza, nawiązująca do starej tradycji Sarmatów, jest organizowana przez Związek Łowiecki. Polowanie odbędzie się w dniu 1 kwietnia o godz. 16.00 w lasach leśnictwa Głogów. Zbiórka myśliwych na strzelnicę.

Miejmy nadzieję, że polowanie będzie udane, a sokół okaże się prawdziwym sokolem o wysokim locie. Po polowaniu zabawa ogrodowa (w programie poczta francuska). Dochód z imprezy organizatorzy przeznaczą na budowę rzeszowskiego ZOO.

Cud techniki i cudeńka

Długo z utęsknieniem oczekiwany ukazał się wreszcie na biurkach, półkach, parapetach okiennych, przykuty łańcuchami do pulpitu budek telefonicznych — spis telefonów województwa rzeszowskiego. Nikt nie przypuszczał, że największą radość sprawi on szaradziście. Co to za ubaw — twierdzą ci zapaleńcy: przypuśćmy, że szukasz przedsiębiorstwa o dźwięcznym brzmieniu LOS. A więc pod „L” — nici z tego. Może więc pod „P”? Szukamy pod przedsiębiorstwem — niewypał! Na pewno będzie pod „państwowe” — ciepłej, ciepłej, ale też nie-

W takim razie pod „O”, czyli okręgowe... no i zabawa trwa. Bawią się również kawalarze, ich przede wszystkim interesuje rozdział pt. „Telefony mieszkaniowe”, którym szaradziści całkowicie pogardzają.

Druga w nocy. Rozbawione towarzystwo sięga do ulubionej lektury.

— Niech będzie Kmitelski...

Wesołe towarzystwo dławi się ze śmiechu, pyta z troską — co ci się śniło, kochanie, a paciorek zmówiłeś?

Tak, tak, telefon to prawdziwy cud techniki. Czasem jeden telefonik wystarczy...!

Nieraz od steku wyzwick puchną druty telefoniczne. Czasem rozgrzewają się do czerwoności od gorących wyznań. Bywa, że chłodne odprawy szronem je pokrywają.

Nie telefonujcie tylko podczas burzy — proszą wydawcy. Radzimy również nie dzwonić do siebie w czasie burzy w domu.

Horoskop na kwiecień

Dzieci, które się potenczasz rodzą, mają skłonność do roli i do gospodarstwa. Bywają weseli, muzykę miłujący, ochotni i ciekawi w skrytych tajemnicach. Do białych głów mało szczęścia mają i jak prędko do lat przyjdą, bywają skąpi i bogaci.

Uwaga!

Od dnia dzisiejszego „Świeczka i ogarek” uruchamia zakład remontu pegazów. Pegazy dosiadanym za często lub źle, albo nie dosiadanym wcale, wymagają okresowych remontów. Na życzenie klientów prowadzimy remonty generalne, wymianę części, przeglądy i smarowanie.

Pracujemy pod hasłem: „Każdy pegaz na chodzie”.



Tradycyjnie już wielkie domy mody w swoich wiosennych pokazach demonstrują również suknie ślubne. Główną ozdobą modelu Laroche'a jest kołnierz, a raczej koronkowa, lamowana satyną kryza.

CAF — Keystone

Ilia Warszawski



— Możemy teraz do woli bawić się w Robinsonów — rzekł ojciec — mamy prawdziwą bezludną wyspę, chatę, a nawet Piętaszka.

Świetny to pomysł nazwać ciężkiego, nieruchawego robota Piętaszkiem. Był całkiem nowy i w promieniach słońca wypływały z każdej szczeliny kropelki smaru.

— Zobacz, poci się — powiedziałem.

Staliśmy wszyscy na brzegu i patrzyli na oddalającego się „Albatrosa”. Był już od nas tak daleko, że nie mogłem rozpoznać, czy jest ktoś na pokładzie. Potem z komina ukazał się biały obłoczek pary, a po kilku sekundach usłyszeliśmy przeciągły ryk.

— Idziemy do domu — odezwał się ojciec.

— Kto szybciej! — krzyknęła mama i zaczęliśmy się ścigać.

Już na finiszu potknąłem się o korzeń i gruchnąłem jak długi na ziemię; ojciec orzekł, że to nieszczęśliwy wypadek, bieg trzeba więc powtórzyć, mama zaś zapytała, czy się mocno uderzyłem. Odpowiedziałem, że wszystko głupestwo i że mogę biec do brzegu, ale w tej chwili rozległ się dzwonek i tata był zdania, że to przypuszczalnie sygnał z „Albatrosa”, wobec czego zawody trzeba było odłożyć.

Dzwonek wciąż hałasował, póki ojciec nie włączył wideofonu. Na ekranie ukazał się kapitan „Albatrosa”. Był w skafandrze i hełmie jak przedtem.

— Odplywamy — powiedział — bo...

— Rozumiem — przerwał ojciec.

— Jeśli wam czegoś będzie trzeba...

— Tak, wiem. Pomyślnego rejsu.

— Dziękuję! Szczęśliwego pobytu.

Ojciec pstryknął wyłącznikiem i ekran zgasł.

— Tata — zapytałem — czy oni odplynęli na zawsze?

— Wrócą po nas — odpowiedział.

— Kiedy?

— Za trzy miesiące.

— Tak długo?

— A czy się nie cieszysz, że wreszcie możemy być sami i nikt nam nie będzie przeszkadzał?

— Owszem, cieszę się — odrzekłem, i było to najświętszą prawdą.

W całym swoim życiu widziałem ojca tylko trzy razy, i to nie dłużej niż przez miesiąc. Kiedy przylatywał — przychodziła do nas zawsze kupa ludzi i nie mogliśmy nigdzie wyjść, zawsze zbierał się tłum... Tata rozdawał autografy i odpowiadał na masę pytań, i nigdy nie byliśmy sami.

— No to chodźcie obejrzeć swoje włości — zaproponował ojciec.

Nasza chatka miała cztery pokoje: sypialnię, jadalnię, mój pokój i gabinet taty. Była tam jeszcze kuchnia i chłodnia. W gabinecie taty stało mnóstwo najróżniejszych aparatów, a tata powiedział, że nauczy mnie na nich liczyć, abym mógł mu pomóc w sporządzaniu sprawozdania.

W moim pokoju był stół, łóżko i duży regał nabitý książkami po sam szczyt. Chciałem je przejrzeć, ale tata uważał, że lepiej to zrobić później, gdy już obejrzymy całą wyspę.

Na podwórzu była mała e-lektrownia. Spróbowałem z ojcem uruchomić silniczek, a mama stała obok i przez cały czas mówiła, że tacy mechanicy jak my, niechybnie coś podpalą, ale nieczegośmy nie podpalili, tylko sprawdziliśmy, czy akumulatory są naładowane i dają prąd.

Potem poszliśmy obejrzeć antenę. Ojcu nie spodobał się jej kierunek, kazał więc Piętaszkowi wdrapać się na górę i skierować dipol dokładnie na północ, ale maszt był metalowy, robot ześlizgiwał się po nim i

w żaden sposób nie mógł wleźć. Wyszukaliśmy więc z ojcem w elektrowni kalafonię i posypaliśmy dłoń i kolana Piętaszka, który potem bardzo szybko wspiął się na górę i zrobił wszystko — co było trzeba, a my wszyscy staliśmy na dole i oklaskiwaliśmy.

Tat — zapytałem — czy mogę się wykapać w oceanie?

— Nie — odparł ojciec.

— Dlaczego?

— Bo niebezpiecznie.

— Dla kogo niebezpiecznie?

— Dla ciebie.

— A dla ciebie?

— Też niebezpiecznie.

— A przy samym brzegu?

— W oceanie nie można się kąpać — powiedział, a ja pomyślałem, że kiedy tata takim tonem mówi „nie można” tam, na dalekich planetach, nikt z członków załogi nie odważy się z nim spierać.

— Możemy się wykapać w lagunie — dodał tata.

To doprawdy nie było ani trochę gorsze niż kąpiel w prawdziwym oceanie. Laguna, to duże jezioro wewnątrz wyspy, a woda w niej była ciepłusienka i zupełnie przejrzysta.

Wszyscy troje pływaliśmy na wyciągi, a później z tatą nurkowaliśmy w zawody, kto z dna zbierze więcej muszelek. Wygrałem, bo tata zbierał jedną ręką, a ja oburącz.

Kiedy zbryzdło nam już zbieranie muszelek, zrobiliśmy dla mamy koronę z gałązek korala i wodorostów, a tata ozdobił ją rozgwiazdą.

Mama wyglądała w niej jak prawdziwa królowa, ukłękliśmy więc przed nią na jedno kolano, a mama pasowała nas na rycerzy.

Później zaproponowałem Piętaszkowi, by ze mną popływał. Bardzo było zabawne, jak zbliżał się do wody, zgrzytał mechanizmem łączącym i cofał się. A potem Piętaszek nagle odkręcił palec od ręki i wrzucił do wody, kiedy zaś palec utonął, oświadczył, że roboty pływać nie mogą. Pokładaliśmy się wprost ze śmiechu, gdyż był przy tym wyraźnie z siebie zadowolony. Zapytałem go wtedy, czy roboty mogą nosić chłopców na rękach, a on odparł, że mogą. Stałem na jego dłoni, a on podnosił mnie wysoko nad głowę, pod sam szczyt palmy. Zrywałem z niej orzechy kokosowe i rzucałem w dół, a tata łapał.

Kiedy słońce opadło całkiem nisko, mama zaproponowała, by pójść nad ocean obserwować, jak będzie zachodziło.

Słońce stało się czerwone, czerwoniuskie i spłaszczyło się tuż nad wodą, a do brzegu biegł od niego krwawy świecący pas. Zmrużyłem oczy i wyobraziłem sobie, że pędzę po tym pasie wprost do Słońca.

— Tata — zapytałem — a tobie zdarzało się lecieć prosto w Słońce?

— Zdarzało się — odpowiedział.

— I tam od niego także się ciągnie taki pas?

— Nie.

— A jaki kolor ma tam niebo?

— Czarny — rzekł ojciec. — Tam wszystko jest inne... nieznane i... wrogie.

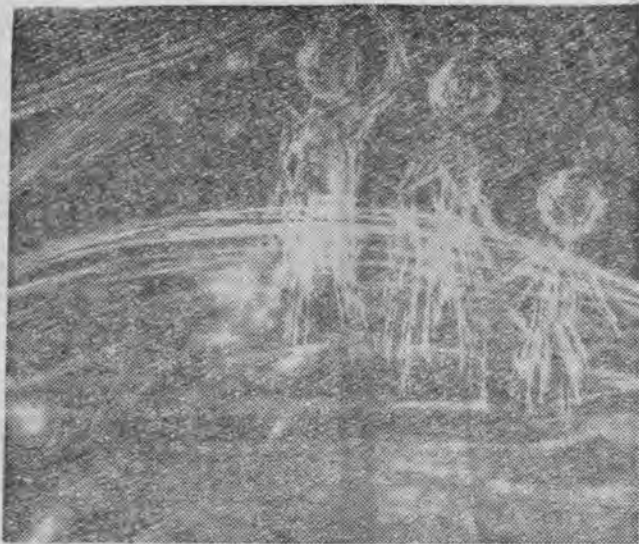
— Dlaczego? — spytałem.

— Kiedyś opowiem ci dokładnie, synku — powiedział — a teraz chodźmy na kolację.

W domu urządziliśmy bardzo ciekawą grę. Mama stała przy lodówce, a myśmy zgadywali, co ma w ręku. Obaj, rzecz prosta, wymienialiśmy ulubione specjalności, a jakimś cudem okazywało się, że za każdym razem zgadyujemy. Kolacja przypadła nam więc do smaku.

Tatuś otworzył butelkę wina i powiedział, że mężczyznom po kąpiel wcale nie zaszkodziłyknąć kieliszek. Nalał mnie i sobie pełne kieliszki, a mamie — troszeczkę. „Dla towarzysztwa” — jak mówiła.

Po kolacji słuchaliśmy koncertu w telewizji, a spiker zapowiedział, że jest to koncert dla nas. Mama aż rumieńców



dość zadowolenia, bo bardzo jest dumna z tego, że mamy takiego sławnego tatę.

Nadawano najlepsze pieśni, a jedna ze śpiewaczek wykonała nawet moją ulubioną piosenkę o wiewiórce zbierającej orzechy. Zdumiewające wprost, jak oni się o tym dowiedzieli...

Kiedy koncert się skończył, tata stwierdził, że powinien zająć się sprawozdaniem. A ja poszedłem spać.

Już leżałem w łóżku, gdy mama przysłała życzyć mi dobrej nocy.

— Mam, posiedź ze mną — poprosiłem.

— Chętnie, kochanie — odpowiedziała Mama i siadła na łóżku.

W odstąpionym oknie świecił księżyc i było całkiem jasno, jak w dzień. Patrzyłem na twarz mamy i myślałem, jaka ona piękna i młoda. Pocałowałem ją w rękę pachnącą czymś bardzo przyjemnym i smutnym.

— Mam — spytałem — dlaczego zapachy są smutne i wesołe?

— Nie wiem, kochanie — odrzekła — nigdy jakoś nie zdarzyło mi się nad tym zastanawiać. Każdy zapach, być może, budzi w nas po prostu jakieś wspomnienia, smutne lub wesołe.

— Być może — potwierdziłem.

Było mi bardzo dobrze. Myślałem o przeżytym dniu, najlepszym dniu w moim życiu, i o tym, że przede mną jeszcze osiemdziesiąt dziewięć takich dni.

— Och, mamo — westchnąłem — jak niezwykłą rzeczą jest życie i jak nie chce się umierać!

— Co, wróbelku? — rzekła. — Ty mówisz o śmierci? Przed tobą takie długie życie.

Było mi jej bardzo żal. Kiedyś jeszcze na „Albatrosie” słyszałem w nocy, jak rozmawiali z tatą o tej okropnej chorobie, którą tata zaraził się w kosmosie, o tym, że nam wszystkim pozostały najwyżej trzy miesiące życia, jeżeli w tym czasie się nie znajdzie się sposób jej leczenia. Przecież dlatego załoga „Albatros” ubrana była w skafandry, my zaś nie wychodziliśmy z kajuty, i w oceanie się nam kąpać nie wolno, bo ta choroba pewnie jest zakaźna.

I mimo to pomyślałem, że gdy ludzie się tak kochają wzajemnie, trzeba zawsze mówić prawdę.

— Mam — powiedziałem — Przecież jeśli nawet nie znajduję sposobu leczenia tej choroby...

— Znajdą — szepnęła mama. Muszą znaleźć. Możesz być tego pewien.

Przełożył: **BOLESŁAW BARANOWSKI**

Wydawnictwa dla turystów

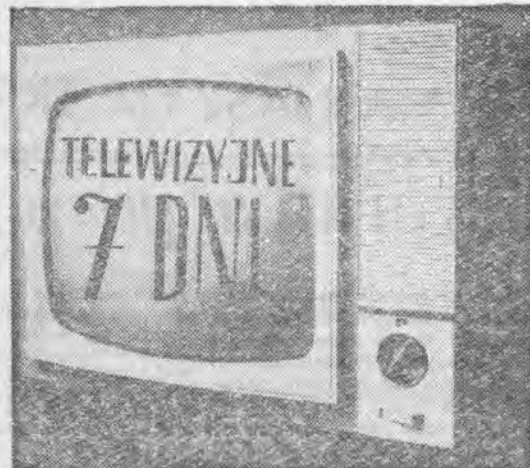
Przed zbliżającym się sezonem Wojewódzki Ośrodek Informacji Turystycznej wydaje coraz więcej mikroprzewodników informatorów i folderów związanych z atrakcyjnymi miejscowościami województwa. Ukazały się już niedawno foldery poświęcone Przemysłowi, ikonom w muzeum sanockim, Krasiczynowi i byłemu obozowi zagłady w Pustkowie. Obecnie otrzymaliśmy dwie broszurki wykonane, jak zwykle starannie, przez WAG w Krakowie na zlecenie WOIT-u rzeszowskiego: „Archeologia na szlakach turystycznych” oraz „Dukla i okolice”.

Pierwsza, pióra Antoniego Kunysza, ukazuje możliwości popularyzacji prac i odkryć archeologicznych wśród turystów. Autor wymienia najbardziej charakterystyczne, grodziska i kurhany w regionie rzeszowskim oraz wysuwa propozycję wycieczki kilka tras wycieczkowych, które wiodłyby zainteresowanych turystów, w prehistorię tej ziemi. Trasy takie winny prowadzić przez muzea regionalne (Krosno, Rzeszów, Biecz, Jarosław, Przemysł, Sanok), w których istnieją działy archeologiczne, do rezerwatów tego typu w pienerze. Folder przynosi propozycje uwzględnienia kilku szlaków — w najbliższych okolicach Przemysła, poprzez ślady grodów obronnych w dolinie Sanu, przez karpackie grody plemiennego (VII—IX w.) oraz szlakiem średniowiecznych miast. Warto by organizatorzy turystyki pieszej i motorowej wykorzystali sugestie autora. W tekście broszurki, jak zwykle w tego typu wydawnictwach WAG-u, kilka zdjęć, plany, szkice i mapki ułatwiający korzystanie z niej turystom.

Folder „Dukla i okolice” pióra Mariana Ziobry, propaguje interesujące piękne okolice Dukli i Przełęcz Duklińskiej. Mówi krótko o historycznej przeszłości Dukli, o dramatycznych walkach w tzw. Dolinie Śmierci w 1944 r. i odradzaniu się nowego życia na tym spustoszonej przez operację duklińskopreszowską terenie. Bardzo staranne opracowanie graficzne, około 30 doskonałych zdjęć, i 2 mapki oraz sporo praktycznych informacji dla turystów podnoszą wartość tego mikroprzewodnika wydanego w samą porę.

Wkrótce ukaza się dalsze informatory turystyczne nakładem WOIT-u poświęcone Gorlicom, Iwoniczowi i Ustrzykom Dolnym. Należy więc oczekiwać, iż w sezonie turystycznym roku bieżącego punkty informacji turystycznej będą mogły zaoferować turystom trochę tanich, estetycznych i poręcznych wydawnictw, których brak dotąd tak dotkliwie dał się odczuć.

J. G.



Ewa Cendrowska przygotowała nam reportaż o małżeństwach młodości. Czekaliśmy na ten reportaż, bo wierzę Cendrowskiej, bo znam jej programy z najlepszej strony, bo zdążyła nas przyzwyczaić do mądrej, potrzebnej publicystyki. Do publicystyki z pointą i komentarzem, podsuwającym rozwiązanie.

Młode małżeństwa były niewypałem, który zmuszał do natychmiastowej refleksji, po co taki program, dla kogo on przeznaczony, co daje? Bardzo niewiele daje: daje świeżoprawdy, zarysy ledwie ludzkich tragedii, delikatność zwierzeń przynosi. A tu potrzeba albo brutalnej całej prawdy o życiu tych, co za paręset złotych i z żadnym zarobkiem chcą budować egzystencję rodziny, w dodatku skierować tę prawdę jako odstraszający przykład do ludzi jeszcze niedorośliwych a już zakochanych; albo dogłębnej analizy status quo, która zainteresuje wtedy wszystkich jako przyczynę do badań nad psychologią i socjologią najmłodszej rodziny polskiej. Cendrowska wybrała złoty środek — to znaczy trochę obyczajów, trochę socjologicznych rozważań i trochę dziennikarskiej troski. Złoty środek okazał się tombakiem — program spycił, zarysowując zaledwie to, co mogłoby stać się przejmującą refleksją o życiu osobistym, albo raczej o osobistej klęsce kilkudziesięciu tysięcy młodych ludzi. Sprawdziła się zatem po raz setny stara reguła, że dobrej publicystyce winien być obcy kompromis...

A problem pozostał. Pozostał jako zjawisko fizjologiczno-obyyczajowe, jako niepotrzebne doświadczenie dla niedoświadczonych, jako ostrzeżenie wreszcie przed urąganiem życia wyobrażoną — a obskurną brzydota rzeczywistości. Piękny w reportażu Cendrowskiej był ten moment, kiedy znany psycholog — dr Jankowski powiedział, że radzić nikomu nie jest w stanie, bo cóż się wie o psychice i sile miłości w każdym poszczególnym przypadku. Był to jedyny głos

za młodymi. Dodajmy — bardzo humanitarny wobec każdego uczucia, które w wieku lat nastu wydaje się ostateczne i po grób. Piękny mi się wydał ten głos przede wszystkim w poszanowaniu dla tego uczucia; piękny w przypadkach, gdzie dwoje bardzo młodych ludzi podejmuje decyzję założenia rodziny i przez długie lata sprawdza tę decyzję poprzez życie i sprawdza ją dobrze. Piękny i rozważny dlatego — że nikt nie jest w stanie przewidzieć skrzywoleń psychicznych, jakie nasze mądre a dorosłe przewidywania, poparte życiową racją i słuszością zgorzkniałego doświadczenia — gdy już rozbiją męt o szczęśliwym małżeństwie dwojga niedorośliwych — mogą na tych dwoje sprowadzić. Drażni i wzbudza protesty wo mnie cynizm takich sformułowań, jakie padały ze strony matki jednej z dziewczyn w programie Cendrowskiej: „chcę by wyszła za człowieka starszego i lepiej zarabiającego”; oburza lekkość, która dobrze obranego ojca, który zdążył 19-letniemu synowi — nie chuliganowi, nie karaniem, przecie za żadne wykroczenie, dać ledwie 7 klas szkoły podstawowej. Drażnią mnie postawy ludzkie, które poza pieniądzem i świętym spokojem niczego w życiu dojrzeć nie zdołały. Wolalabym o tych ludziach reportaż; wolalabym dotrzeć do tych rodzin, które rzekomo broniąc córki i syna przed decyzją konsekracji małżeństwem szczeniackiego, ich zdaniem, uczucia, w zamian proponują poważnego pana lub panią z willą. Dlaczego w 25 roku Polski Ludowej znowu stają się ważne meble w sypialni i męt spokojnej, mieszczańskiej egzystencji; dlaczego odżywają pojęcia posażnej jedynaczki i gołęwo inteligenta? Dlaczego bady-larz z samochodem jest więcej wart od technika z otwartą głową; dlaczego wreszcie w sferze obyczajów drepczymy wokół znanych z niedobrej tradycji kanonów?

Zdaje mi się, że nie ma zjawisk społecznych, oderwanych od społeczeństwa. Zdaje sobie sprawę, że małżeństwa w za młodym wieku nie są szczęściem żadnej społeczności; ale dla mnie nieszczęście leży w czym innym niż dla wielu ojców i matek — po prostu w nieprzydatności zawodowej młodych. I kto wie, czy nie w sferze ich wychowania ogólnego — to znaczy tego w domu i tego w szkole?

Cendrowska miała rację mówiąc o szkole, wyjaśniającej każdy rodzaj życia, a więc i tego rodzinnego i tego w dziedzinie uczuć, nietykanych ręką pedagogów. Wypada mi się z nią zgodzić, że panuje tu zaniedbanie, bo nie umiemy o tym mówić z należytą szczerością; nie umiemy położyć granicy rozczarowania fizjologii od afektu. I jeśli nie umiemy tego zaaranżować my, dorośli — jakże jest w stanie z tego gąszczu psychologicznej problematyki wydestakować się młodzież? Spragniona uczucia, stęskniona na samodzielność, urzeczona wędrówką we dwoje tylko — bez bagażu fałszywych ambicji, dwuznacznego dobrobytu, w pogardzie dla finansowych karier? I tu jest ten temat dla dobrej publicystyki — temat „jak rzeka, z intencją czystej niby ła eksploatacji, w czym tkwią sensy i wartości naszego życia rodzinnego. KRYSZYNA

„Kolekcja” FILM O POWOZACH ŁAŃCUCKICH

Dyrekcja Muzeum-Zamku w Łańcucie zorganizowała uroczysty pokaz nowego filmu o powozach łańcuckich pt. „Kolekcja”. Reżyseria MARIKI KWIAŃKOWSKIEJ, zdjęcia RYSZARDA WRÓBLEWSKIEGO, realizacja Wytwórnia Filmów Dokumentalnych w War-

szawie przy współpracy Muzeum w Łańcucie.

Film wyświetlony zostanie w kinie „Apollo” w Rzeszowie dzisiaj, tj. 30 marca o godz. 13. Podczas pokazu wyświetlone zostaną również filmy związane tematycznie z powozami i zamkiem łańcuckim.



PONAD LUDZKA MIARĘ. Wspomnienia operowanych z Ravensbrück. KIW. s. 400, cena 33 zł.

W tomie zawarte są wspomnienia dwudziestu spośród siedemdziesięciu więźniark hitlerowskiego obozu koncentracyjnego poddanych doświadczeniom operacji na nogach. Wiele z tych więźniarek politycznych zmarło lub zostało rozstrzelanych, aby ukryć niedłukie eksperymenty. Część jednak przetrwała i daje w swych wspomnieniach świadectwo prawdzie. Wstrząsające relacje. Dokument zbrodni.

Władysław Machejek: **PODRÓŻE POLITYCZNE.** KIW. s. 300, cena 22 zł.

Naczelny redaktor „Życia Literackiego”. Zaangażowany pisarz i publicysta. Cykl reportaży z wielu krajów. Włochy, Hiszpania, Słowacja, Węgry, Jugosławia, Turcja, ZSRR. Umiejętność patrzenia.

Mirosław Bzdrya: **BANDA SIWEGO.** KIW. s. 180, cena 10 zł.

Trzydziestoletni autor jest funkcjonariuszem MO. Dzielnicowym. Książka jest owocem wielu doświadczeń i spostrzeżeń ze środowiska młodocianych przestępców i wykończonych. Reportaż z marginesu społecznego. Żywa narracja.

Gilbert K. Chesterton: **CZŁOWIEK, KTÓRY BYŁ CZWARTKIEM.** Koszmar. Tłum. M. Skibniewska. PIW. s. 220, cena 20 zł. „Powieści XX wieku”.

Drugie wydanie znanej powieści słynnego angielskiego pisarza. Detektywistyczna, połączona z groteską. Jak zwykle u tego pisarza filozoficzny podtekst.

Stefan Zweig: **MARIA STUART.** Przeł. M. Wisłowska. PIW. s. 376, cena 30 zł.

Czwarte wydanie. Zbeletryzowana powieść biograficzna o szkołkiej królowej ścietej na szafocie. Jedna z najwybitniejszych książek tego pisarza. Ciekawe tło epoki. Liczne ilustracje.

Irina Griekowa: **FRYZJER DAMSKI.** Tłum. I. Lewandowska, K. Witwicka. PIW. s. 220, cena 12 zł.

Zbiór opowiadań jednego z ciekawszych zjawisk w literaturze radzieckiej. Autorka jest kobieta-naukowiec. Psychologia, poczucie humoru. Dużo elementów osobistych. Nowoczesna proza.

Mieczysław Lepecki: **NIKNACY ŚWIAT.** Iskry. s. 220, cena 15 zł. Wyd. II. W serii „Naokoło świata”.

Przygoda. Świat poszukiwaczy złota i drogiej kamieni. Na szerokim tle obyczajowym wyprawa znanego pisarza i podróżnika w głąb Centralnej Brazylii.

ZARYS DZIEJÓW RELIGII. Red. Komitet. Iskry. s. 1040, cena 120 zł. Liczne ilustracje. Duża czwórka. płótno.

Nowe, rozszerzone i poprawione w wyniku uwag recenzentów i listów czytelników wydanie. Wielu autorów. Mnogość tematyki. Kompendium. Religie wszystkich kontynentów i czasów.

WOJNA OBRONNA POLSKI 1939. WYBÓR ŹRÓDEŁ. Opr. Zespół. MON. s. 1256, cena 100 zł.

Coraz więcej materiałów naświetla w formie publicystyki, materiałów naukowych i wspomnień tragicznych wrzesień 1939 roku. W przygotowaniu jest monografia polskiej wojny obronnej 1939 r. opracowywana przez Wojskowy Instytut Historyczny. Jak gdyby na marginesie tej pracy wydano źródła. I to jest właśnie omawiany tom.

Marian Drodzowski: **KLASA ROBOTNICZA WARSZAWY 1918—1939.** Skład i struktura społeczna, KIW. s. 462, cena 70 zł.

Ta naukowa pozycja obok zagadnień teoretycznych podejmuje tematyki poziomej struktury klasy robotniczej Stolicy oraz uwarunkowanie hierarchicznych kryteriów obiektywnych i subiektywnych. Aparat naukowy.

John Maynard Smith: **TEORIA EWOLUCJI.** Przeł. J. Mikulski. PWN. s. 420, cena 35 zł. „Biblioteka problemowa”.

Popularnonaukowa. Całokształt zagadnień związanych z ewolucją organizmów. Również prawidłowość ewolucji jako procesu historycznego.

WSPÓLNE STOSUNKI MIEJDYNARODOWE. KIW. s. 266, cena 18 zł.

W „Bibliotece Wiedzy Politycznej” zbiór rozpraw. Z myślą o słuchaczach nauk politycznych na wyższych uczelniach. Informacje o najważniejszych wydarzeniach i zjawiskach na arenie międzynarodowej. Raczej służy jako przewodnik metodyczny, bo jednak życie przynosi zmiany.

Jerzy Stembowicz: **RADA PAŃSTWA W SYSTEMIE ORGANÓW PRL.** Wyd. Prawnicze. s. 196, cena 28 zł.

Monografia. Pewne dane informacyjno-porównawcze, odwołujące się do europejskich państw socjalistycz-

NA NASZYM EKRANIE

Wyprawa po posag

Jeszcze mamy w pamięci miłosne perypetie Alberto Sordi w kraju długonogich i jasnowłosych dziewcząt — Szwecji, a oto ten sam reżyser Gian Luigi Polidoro prezentuje nam przygodę innego mieszkańca Półwyspu Apenińskiego osnute na podobnym tle. Mam na myśli „Amerykańską żonę” tego reżysera, jego drugi już film o próbach miłosnych podbojów dokonywanych przez podrywaczy ze słonecznej Italii nie we własnym kraju, wśród spragnionych emocji turystek z różnych stron świata, ale na zewnątrz, za granicą, ba, za morzami.

Bohaterowi „Amerykańskiej żony” nie chodzi zresztą tylko o sukcesy erotyczne. Jedzie on za Ocean z myślą o wzbogaceniu się, zrobieniu majątku; drogą do tego, możliwością „zaczepienia się” w Stanach Zjednoczonych, środkiem uwolnienia się od wszelkich życiowych trosk ma być małżeństwo z bogatą Amerykanką.



Marina Vlady

Zetknięcie tych pragnień i samego bohatera z amerykańską rzeczywistością daje reżyserowi okazję do wielu zabawnych pomysłów, które mają jednak na celu coś więcej niż rozrywkę — są próbą przeciwstawienia sobie dwóch światów, dwóch mentalności, różnych obyczajowości mieszkańców starego i nowego kontynentu. Polidoro patrzy na to okiem satyryka, rysuje sytuacje ostro, karykaturalnie nie szczędząc ani swego rodaka Riccardo (gra go pamiętny ze „Wspaniałego rogowca” Ugo Tognazzi) ani jego amerykańskich partnerek.

Na wstępie wszystko zdaje się potwierdzać przypuszczenie i plany Riccardo, który wraz ze swym szefem zjawia się w Nowym Jorku. Domy są wspaniałe, samochody również, kobiety wydają się być interesujące. Pierwsze wrażenia potwierdza wizyta u kolegi, również Włocha, który lśniącą limuzyną zawozi go do swego automatyzowanego domu i prezentuje młodszą, ponętą żonę, roztańcza miraż dostatku.

Daremnie kolega usiłuje wprowadzić naszego bohatera z nieba na ziemię, przypominając, że to już druga żona, że pierwsza, której zawdzięcza pobyt w USA, była stara i brzydka, ale dostatecznie bogata, by kupić sobie młodego męża. Riccardo odrzuca złoty zasobnik, ale mocno postarzałej milionerki, kierując swój wzrok ku młodym dziewczętom. Zamierza dzięki amerykańskiej żonie pozostać w USA, chce by ta żona była zamożna, ale także, by nadawała się do kochania, by buziła pożądanie.

Dzień po dniu rozwiewają się złudzenia. Pierwsza znajoma

szuka nie tyle towarzysza życia, co kompana do kieliszka, druga, po zachęcającej przejażdżce samochodowej przerywanej wystudowanymi pieszczotami, okazuje się meżatką, osamotnioną żoną pracownika bazy rakietowej na Przylądku Kennedy'ego. Trzecia — bogata właścicielka kopalni naftowych — robi sobie z Riccardo zabawę. I tak dalej i tak dalej.

Nasz Włoch jest przerażony. Nie umie wzbudzić w żadnej z tych kobiet uczuć, które sprawiłyby, że wreszcie jedna z nich straciłaby dla niego głowę. Zaden europejski „chwyt” nie zdaje tu egzaminu. Wszystko rozbija się o ciasny praktycyzm Amerykanki. Znajomość, flirt — owszem, ale małżeństwo? — Człowieku, przecież małżeństwo to interes, o którym trzeba pomyśleć spokojnie. Miłość? Owszem, ale do pewnych granic. Zawsze trzeba zachować rozsądek. Można się pocałować, można — dla higieny życiowej — pójść dalej w pieszczotach, ale życie trzeba sobie układać przewidująco, z partnerem, który wniesie do niego odpowiedni majątek, podstawę egzystencji. Uroda i uczucie to rzeczy dalszoplanowe.

Okazuje się, że kolega — roślak miał rację. Jedyna szansa to starsze panie, które za swoją forszę zechcą zafundować sobie takiego mężczyznę, jak Riccardo. Potem można się rozwieść lub poczekać aż sędziwa małżonka opuści ziemski padół, ale zaczynać można tylko tak.

Riccardo nie wierzy w to, uparcie chce dopiąć swego, kiedy dostaje kosa nawet od jednej z cór Koryntu — zalamuje się. W Europie, starej biednej, ale kochanej Europie nie zrobiono by mu takiego afrontu. Tam niejedna z dziewcząt wyszłaby za niego z pocałowaniem ręki.

Polidoro był kiedyś dokumentalistą. Pomysł „Amerykańskiej żony” zrodził się, kiedy jako stypendysta UNESCO studiował w USA. Toteż film nosi wyraźne cechy warsztatu dokumentalisty, ma w sobie nawet coś z atmosfery słynnego reportażu Reichenbacha „Ameryka oczami Francuza”. Obraz tej Ameryki ukazany przez Polidoro jest nie tylko zabawny, ale i zastanawiający, choć reżyser nie sięga zbyt głęboko do problemów i zjawisk cechujących współczesne społeczeństwo amerykańskie. Bohaterowie jego filmu to ludzie korzystający z dobrodziejstw najnowszej techniki ale pozbawieni normalnych na naszym kontynencie ludzkich odruchów, organizujący sobie życie do najdrobniejszych szczegółów. Cięży nad nimi fe tysz pieniądza. Okazji do zdobycia dolarów trzeba szukać wszędzie — w samolocie podczas niewinnej na pozór zabawy, na przyjęciu towarzyskim, gdzie tylko się da.

Na tym tle nawet lajdaczyna Riccardo wydaje się lepszy niż jest w istocie. Widzimy w nim coś ludzkiego, odróżniającego go od tych hataśliwych i niby beztróżnych, ale pustych wewnętrznie Amerykanów; jego wyrachowanie jest prymitywne, ale nie tak okrutne, zimne i bezwzględne jak jego partnerek. Gorzkie rozczarowania, jakich doznaje, pozwalają przy tym nie tylko jemu uświadomić sobie starą prawdę, że „wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma”.

„AMERYKAŃSKA ŻONA” — komedia obyczajowa produkcji włosko-francuskiej. Scenariusz: R. Senego, R. Azcono, E. Flaiano. Reżyseria: Gian Luigi Polidoro. Zdjęcia: Benito Frattoni, Marcello Gatti. Muzyka: Nino Oliviero. Wykonawcy: Ugo Tognazzi, Marina Vlady, Juliette Prowse, Rhonda Fleming i in.



ZDZISŁAW CZOWNICKI — komendant Rzeszowskiego Hufca ZHP.
Rys. J. SIENKIEWICZ

Polonica kulturalne

POLSKA MUZYKA WSPÓŁCZESNA W NORWEGII

Przewodniczący norweskiego stowarzyszenia „Ny Musikk” („Nowa Muzyka”) Kjell Skjellstad w wywiadzie udzielonym dziennikowi „Arbaldet” na temat programu koncertowego na br. oświadczył: „Pragniemy w 1968 r. kontynuować dobre kontakty ze środowiskami muzycznymi krajów wschodniej. Wiosenne festiwale muzyki współczesnej stworzyły możliwości szerokiego prezentowania niezwykle bogatej i interesującej muzyki współczesnej Polski”.

Kjell Skjellstad poinformował, że wkrótce wyjeżdża do Polski, gdzie ma się spotkać z Krzysztofem Pendereckim i Witoldem Lutosławskim. Rozmowy dotyczyć będą m. in. ewentualnego zorganizowania w Norwegii jesienią br. „Tygodnia Muzyki Polskiej”.

POLSKIE FILMY W FINLANDII

Z okazji odbywających się w stolicy Finlandii „Dni Polskich” urządzono pokaz polskich filmów. Publiczność fińska obejrzała trzy pozycje fabularne, nie wyświetlane dotychczas na ekranach tamtejszych kin: „Marysia i Napoleona” Leonarda Buczkowskiego, „Jowite” Janusza Morgensterna i „Sublokatora” Janusza Majewskiego.

KSIĄŻKA A. KAMIENSKIEJ DLA RADZIECKICH DZIECI

Wydawnictwo Literatury Dziecięcej w Moskwie „Dietgiz” — zamierza wydać książkę Anny Kamińskiej „W Nieparzy i gdzie indziej”. Książkę przełożyła na język rosyjski zmarła niedawno znana tłumaczka naszej literatury Julia Mirska.

WIDNOKRĄG ODPOWIADA

Ob. J. J. Brzozów: Niestety, z impresji „Ręce” nie skorzystamy. Pod koniec staje się nieczytelna i zbyt publicystyczna. Wypadł Pan z tonu i zaczął pisać w pewnym momencie inny utwór. A szkoda, bo początek zapowiadał się interesująco.

F. C. Przemyski: Wiersze zachowujemy w tece do ewentualnego wykorzystania któregoś z nich. Nie możemy jednak określić terminu.

St. P. Rzeszów: Wiersze nie opublikujemy. Są sentymentalne i bardzo wtórne, bardzo konwencjonalne. W wierszu „Dla ciebie” pisze Pani: „Była wiosna/Kwitły bzy i kasztany//W mym sercu zostały kwiaty//I Ty”. To naprawdę

nieodkrywcze i nieoryginalne. Poza tym używa Pani „poetycznych” sformułowań takich jak „śnieżna poezja lasu”, „zimowej baśni poemat”, „czar przyrody”... Są one tak wytarte w użyciu, że nie mają już wartości emocjonalnej.

H. W. Albigowa: Pańskie erotyki przypominają trochę naiwne wierszyki, które dawniej drukowano na opakowaniach karmelków odpustowych — np. „Tak siedzieliśmy obok siebie//jak dwa aniołki w niebie//, lub... „Tylko gwiazdy na niebie//mrugały do siebie//A my rozmarzeni//i w siebie wpatrzni”... To może wyraża Pana uczucia ale z poezją nie ma nic wspólnego.

O. K. Lubaczów, M. M. Dobrzechów, B. K. Przybyszówka, L. F. Sanok, A. F. Dynów, St. K. Chwałowice, pow. Tarnobrzeg: Nie skorzystamy i nie zachęcamy do kontynuowania prób. Wiersze nie mają żadnych wartości poetyckich.

ZDARZENIA WYGODNIA

W ubiegły poniedziałek z okazji Międzynarodowego Dnia Teatru odbyło się w Rzeszowie spotkanie członków Prezydium WRN z dyrektorami i kierownikami artystycznym Teatru im. W. Siemaszkowej, „Kacperka” i PPIE „Estrada”. Obecni byli również sekretarze POP, przewodniczący rad zakładowych, Koła SPATiW oraz przedstawiciele zespołów. W uroczystości wzięli również udział sekretarz KW PZPR Stanisław Ryba.

Wiceprzewodniczący Prezydium WRN M. Kaczor w ciepłych słowach podziękował zebranym za dotychczasową działalność, życząc równocześnie dalszych sukcesów w upowszechnianiu sztuki teatralnej wśród najszerszego społeczeństwa naszego województwa. Mimo uroczystego charakteru spotkania, omówiono również wiele problemów związanych z teatrem.

Międzyszkolny Ośrodek Prac Pozalekcyjnych w Rzeszowie obchodził w tych dniach jubileusz 15-lecia swej działalności. Z tej okazji w hallu Prez. WRN otwarto w ubiegłym tygodniu wystawę obrazującą dorobek tej placówki. Zgromadzono na niej foty, kroniki, albumy i dyplomy. Warto również wspomnieć, że z okazji jubileuszu zespoły MOPP-u przygotowały specjalny program jubileuszowy, na który składa się widowisko poetyckie pt. „Podróż po mapie kraju” oraz program rozrywkowy z tańcem, muzyką i śpiewem. Prezentacja odbędzie się w dniu 31 marca br. w sali Teatru im. W. Siemaszkowej.

W dniu 25 bm. w sali Teatru im. W. Siemaszkowej odbyła się kolejna premiera Państwowego Teatru Lalki i Aktora „Kacperka”. Tym razem przygotowano widowisko dla dorosłych. Jest to „Romans Ferliplina i Belsy”, napisany specjalnie dla teatru lalki, którego autorem jest Federico Garcia Lorca.

Nie podajemy treści widowiska, natomiast zachęcamy do jego obejrzenia. Uroku dodają mu bardzo przyjemne dekoracje w wykonaniu Jerzego Szymańskiego i muzyka Zbigniewa Jezewskiego. Reżyseria — Stojakowski.

Dziś mamy do odnotowania dwa wydarzenia z życia Państwowej Szkoły Muzycznej II stopnia w Rzeszowie. Otóż ostatnio odbył się tam koncert muzyki kameralnej w wykonaniu studentów krakowskiej Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej. Program obejmował utwory Ludwika van Beethovena. Następnie goście wystąpili w auli Szkoły Muzycznej w Przemysku, gdzie wykonali utwory W. A. Mozarta.

26 bm. natomiast odbyło się zorganizowane wspólnie z „Domem Książki”, spotkanie z dyrektorem Polskiego Wydawnictwa Muzycznego mgr Mieczysławem Tomaszewskim. Gość omówił politykę wydawniczą reprezentowanej instytucji oraz plany. W trakcie dyskusji poruszono wiele interesujących problemów, wskazano na potrzeby i braki, które wydawnictwo weźmie niewątpliwie pod uwagę.

Na część artystyczną w wykonaniu uczniów złożyły się utwory kompozytorów polskich wydane przez PWM.

W dniach 22—24 bm. odbyło się kolejne spotkanie członków Wojewódzkiego Klubu Reżysera Amatora. Reżyserzy amatorskich zespołów teatralnych i instruktorzy, skupieni w klubie, w ramach zajęć seminaryjnych wyjechali do Krakowa, gdzie uczestniczyli w próbie „Króla Edypa” Sofoklesa, przygotowywanego w Teatrze im. Juliusza Słowackiego przez Lidie Zamkow.

Po próbie odbyło się spotkanie z reżyserem, podczas którego omówiono warsztat pracy przy realizacji dramatu antycznego.

Dodatkową atrakcją dla uczestników było niewątpliwie obejrzenie spektaklu „Yerma” F. G. Lorki i „Rzeźni” Anatola Sterna.

W Klubie Związków Twórczych (Dom Sztuki w Rzeszowie) prezentuje swa twórczość z kolei artysta plastyk Stanisław Kuca, wystawiając dorobek ostatnich kilku lat. Prezentowane obrazy olejne nie były dotychczas nigdzie ekspozowane.